TOMASZ NAŁĘCZ

ZAPIS DOKONAŃ I EMOCJI PIERWSZYCH MIESIĘCY ODRODZONEJ POLSKI

Przewrót w Polsce to jedno z najciekawszych świadectw dokumentujących pierwsze miesiące odrodzonej w listopadzie 1918 roku suwerennej Polski.

To zapis zrodzony niemalże na gorąco, kiedy kształtu wydarzeń i atmosfery tamtego czasu jeszcze nie zweryfikował i nie zniekształcił dalszy bieg wypadków. Tekst powstał latem 1919 roku, a ostatnie jego odniesienia faktograficzne pochodzą z końca lipca. Rzecz jasna, aktualność i świeżość zapisu ma też i ciemniejsze strony. Narracja przepełniona jest emocjami, także politycznymi, a te nie służą bezstronności wywodu.

O niezwykle wysokiej wartości tego przekazu decyduje w pierwszej kolejności osoba jego autora. Jędrzej Moraczewski to jedna z najważniejszych postaci ówczesnej sceny politycznej. Był liderem obozu piłsudczykowskiego w czasie magdeburskiego uwięzienia Józefa Piłsudskiego, a potem prezydentem Rady Ministrów odrodzonego państwa polskiego. Podejmował kluczowe dla kraju decyzje. Wiele wiedział i widział. Był człowiekiem nieprzeciętnego intelektu, wielkiego zmysłu obserwacyjnego i ogromnego doświadczenia. Potrafił gromadzić informacje i robić z nich właściwy użytek. Bez wątpienia dysponował wiedzą, której żadną inną zastąpić niepodobna.

Nie ulega też wątpliwości, i to jest oczywisty mankament *Przewrotu w Polsce*, że Moraczewski nie zawarł w ogłoszonej w 1919 roku publikacji całej swojej ogromnej wiedzy na temat narodzin i początków funkcjonowania odrodzonej Polski. Nie mógł tak uczynić, gdyż tekst powstał jako oręż propagandowy, służący bieżącym potrzebom politycznym PPS. Temu celowi został podporządkowany wywód autora, niejednokrotnie kosztem rzeczywistego kształtu wydarzeń. Działania PPS wyidealizowano, zaś politycznych przeciwników przedstawiono w roli szkodników, kierujących się partyjnymi egoizmami. Na ten deformujący filtr czytelnik natknie się wielokrotnie i zadaniem niniejszego wstępu jest, w miarę możliwości, zneutralizowanie tego zagrożenia.

Zacznijmy od najważniejszych informacji o autorze.

Jędrzej Moraczewski urodził się 13 stycznia 1870 roku. Jak prawie wszyscy organizatorzy niepodległościowego ruchu socjalistycznego na ziemiach polskich, należał do generacji zwanej przez historyków pokoleniem popowstaniowym. Podobnie jak rówieśnicy, wzrastał w atmosferze głębokiej narodowej traumy, spowodowanej upadkiem powstania styczniowego. Przeżywał to bardzo mocno, gdyż od najmłodszych lat wychowywano go w atmosferze gorącego patriotyzmu.

Był trzecim, najmłodszym dzieckiem i jedynym synem Macieja i Anieli z Pomorskich Moraczewskich. Matka zmarła wkrótce po jego urodzeniu i został wychowany przez jej siostrę Annę, która była drugą żoną ojca. Urodził się w Trzemesznie, nieopodal Gniezna, w niewielkim mieście zaboru pruskiego, gdzie patriotyzm manifestowano codzienną obroną i pomnażaniem substancji narodowej, przede wszystkim przywiązaniem do ojczystej mowy i ziemi.

W szlacheckiej rodzinie Moraczewskich, w sposób w zaborze pruskim wręcz wyjątkowy, bardzo żywe były tradycje zbrojnej walki o niepodległość. Ojciec, powstaniec styczniowy, walczył

w oddziale Mariana Langiewicza. Dziadek Roman jako oficer bił się z Rosjanami w powstaniu listopadowym. Walczył też w tym powstaniu jego brat Jędrzej, znany później wielkopolski działacz demokratyczny i historyk, po którym nasz autor nosił imię.

W 1876 roku rodzina przeniosła się do Krakowa, gdzie ojciec, ceniony już wówczas inżynier budownictwa, został na zaproszenie prezydenta Mikołaja Zyblikiewicza dyrektorem Miejskiego Budownictwa. Od tej pory także klimat autonomicznej Galicji współkształtował dalsze losy i życiową karierę młodego Jędrzeja. Pod Wawelem ukończył szkołę ludową, czyli podstawową, i kontynuował naukę w znanym Gimnazjum św. Jacka.

W 1881 roku ojciec awansował i został wyższym urzędnikiem departamentu budownictwa w galicyjskim lokalnym rządzie, zwanym Namiestnictwem, we Lwowie. Tam też przeniosła się cała rodzina. Jędrzej kontynuował naukę, najpierw w niemieckim II Gimnazjum, a następnie w III Gimnazjum im. Franciszka Józefa.

W stolicy Galicji, bardziej rozpolitykowanej niż trochę senny w tamtym czasie Kraków, już jako piętnastolatek zaangażował się w prace tajnego kółka patriotyczno-samokształceniowego. Ciągnęło go do spraw publicznych, choć wtedy jeszcze bez wyraźnej konotacji ideowej. Jego dość mgławicowe poglądy wpisywały się w rodzinną tradycję narodowo-powstańczą i dalekie były od późniejszego radykalizmu socjalnego. Najpewniej także dlatego, że szybko awansujący ojciec zapewniał rodzinie, wtedy już pomnożonej o kolejną trójkę dzieci z drugiego małżeństwa, materialny dostatek, którego widomym znakiem był własny, solidny dom, położony przy jednej z prestiżowych ulic Lwowa, tuż obok Pałacu Sanguszków.

W rodzinie tradycyjnie ceniono techniczne wykształcenie, więc także Jędrzej, po zdaniu w 1888 roku matury, odbył w latach 1888–1894 studia na Wydziale Inżynierii Politechniki Lwowskiej. Dały mu one nie tylko solidną wiedzę zawodową, będącą

przepustką do szybkiej kariery inżyniera budownictwa, lecz także zetknęły go z poważniejszą działalnością polityczną. Ujawnił się w niej jego talent przywódczy. Dość szybko zyskał Moraczewski status lidera w tajnym studenckim kółku patriotycznym.

Z tego okresu pochodził pierwszy, bardzo jeszcze naiwny plan zbrojnego wystąpienia przeciwko zaborcy. „Projekt był następujący – wspominał po latach Moraczewski – rozmieścić oficerów i podoficerów spiskowych w powiatach wybranych do rozpoczęcia akcji [...]. Podrobiwszy pieczęcie, zmobilizować rezerwistów, poddając ich pod komendę naszych oficerów i oficerów, oczywiście umundurowanych”[1]. Rzecz jasna, nic z tych planów nie wyszło i na szczęście wiedza o nich nie dotarła do policji.

Większe znaczenie miało krystalizowanie się i radykalizowanie społecznych poglądów Moraczewskiego. Stał się socjalistą i w 1894 roku wstąpił do Galicyjskiej Partii Socjaldemokratycznej, od 1899 roku znanej pod nazwą Polska Partia Socjalno-Demokratyczna Galicji i Śląska Cieszyńskiego. Dał również o sobie znać jego temperament pisarski. Moraczewski dołączył do redakcji dwutygodnika „Życie” i zaprezentował się czytelnikom jako autor sprawnie władający piórem.

Po pióro w swojej karierze publicznej sięgał od tej pory wielokrotnie. *Przewrót w Polsce* był więc jedną z bardzo licznych jego publikacji, z reguły mocno wpisanych w bieżące potrzeby polityczne. Przystępując do pracy nad nim, autor miał dużą wprawę w umiejętnym oddziaływaniu na czytelnika. Nawykł też do dość swobodnego doboru argumentów, tak by służyły osiągnięciu z góry założonego celu.

Moraczewski kończył więc Politechnikę Lwowską jako starannie wykształcony inżynier i raczkujący socjalista, nie kryjący się ze swymi poglądami. W wolnościowej atmosferze Galicji ta-

1 AAN, Akta Z. i J. Moraczewskich, t.71/III/1, J. Moraczewski, *Wspomnienia. Ludzie, czasy i zdarzenia*, cz. I, k. 36.

kie poglądy nie uniemożliwiały, jak w zaborze rosyjskim i pruskim, kariery urzędniczej i już w 1893 roku znalazł on zatrudnienie w Biurze Drogowym galicyjskiego Wydziału Krajowego we Lwowie.

Równolegle, w latach 1894–1895 odbył, jako jednoroczny ochotnik, obowiązkową służbę wojskową w korpuśnym pułku artylerii w rodzinnym Lwowie. Dało mu to wiedzę i staż wojskowy, które za dwadzieścia lat w Legionach Polskich zapewniły mu szybki awans oficerski.

Życiowej stabilizacji dopełniło w 1896 roku niezwykle udane, jak się z czasem okazało, małżeństwo z Zofią Gostkowską, córką profesora Politechniki Lwowskiej Romana Gostkowskiego. Zofia dzieliła z mężem nie tylko życie, ale i pasję polityczną, dodatkowo utwierdzając go w coraz bardziej skrystalizowanych poglądach socjalistycznych.

Kariera zawodowa szybko awansującego Moraczewskiego, jak to często bywa w przypadku inżynierów budownictwa, zmuszała rodzinę do częstej zmiany miejsca zamieszkania. Najpierw budował w Galicji Wschodniej linię kolejową Tarnopol – Kopyczyńce, potem Czortków–Skała nad Zbruczem. W latach 1899–1900 los rzucił go do dalekiej Dalmacji, do realizowania inwestycji kolejowej Split–Sinje–Arzane. Potem znowu pracował przy inwestycjach galicyjskich, gdzie czuł się najlepiej, gdyż pasję zawodową łączył tu z obywatelską misją unowocześniania zacofanego kraju. Przeszedł wszystkie szczeble kolejowej kariery urzędniczej, od diurnisty technicznego po wysoką szarżę radcy budownictwa.

Coraz śmielej rozwijał też skrzydła jako społecznik. W kolejnych galicyjskich miejscach pracy i zamieszkania znajdował czas na działalność w Towarzystwie Uniwersytetu Ludowego, szerzącego wiedzę i świadomość narodową zwłaszcza wśród robotników. Codzienny kontakt z tym środowiskiem uświadomił mu,

jak wielką pracę trzeba wykonać, by z robotnika i chłopa uczynić świadomego polskiego obywatela i patriotę. A w tym upatrywał najsolidniejszego fundamentu wymarzonej suwerennej Polski.

To przekonanie jeszcze mocniej związało go z PPSD. W 1900 roku, na użytek odbywających się wówczas w Austrii wyborów, pod pseudonimem Edwarda Pomorskiego wydał w Krakowie broszurę agitacyjną *Lud a Sejm*. Udzielił też PPSD znaczącej pomocy finansowej, która pozwoliła przekształcić jej organ „Naprzód" z tygodnika na dziennik.

W kolejnych wyborach, w 1907 roku, niezwykle dla PPSD ważnych, bo po raz pierwszy odbywanych w Austrii w oparciu o powszechne prawo wyborcze, wystartował już osobiście i zdobył jeden z sześciu mandatów wywalczonych przez PPSD. Dzięki temu sukcesowi błyskawicznie awansował do grona partyjnych liderów, tym bardziej że wyborczą porażkę poniósł tym razem, wybierany wcześniej dwukrotnie na posła, przywódca PPSD Ignacy Daszyński.

Moraczewski został posłem do parlamentu wiedeńskiego z okręgu Stryj–Kałusz, czyli z Galicji Wschodniej, gdzie mieszkańcy, zwłaszcza robotnicy, znali go i cenili jako autora ważnych inwestycji komunikacyjnych i społecznika, wrażliwego na ludzkie potrzeby. Odpłacił im się za to z nawiązką. Zamieszkał z żoną i dziećmi w Stryju i zasłynął jako organizator szeregu spółdzielczych instytucji dla robotników, zwłaszcza kolejarzy. Z jego inicjatywy powstało wiele placówek rozwiązujących codzienne problemy miejscowej, z reguły niezamożnej ludności, takich jak Piekarnia Robotnicza czy klub kulturalno-oświatowy Grupa Kolejarzy. Był tam częstym gościem, relacjonował swą działalność parlamentarną i wygłaszał odczyty poświęcone aktualnym problemom politycznym i gospodarczym. Upominał się też usilnie o sprawy swoich wyborców w najróżniejszych urzędach stołecznego Wiednia. Wiódł prym wśród kolegów, jeśli chodzi o liczbę złożonych interpelacji poselskich.

Nic dziwnego, że po czterech latach, w 1911 roku, bez kłopotu odnowił mandat i dalej reprezentował PPSD w parlamencie w Wiedniu. Na kilka lat przed wybuchem wojny do jego rozlicznych zajęć doszła jeszcze jedna pasja. Zaangażował się w prace militarne prowadzone na terenie Galicji przez Józefa Piłsudskiego.

Miały one na celu wywołanie za granicznym kordonem powstania wymierzonego przeciwko Rosji. Piłsudski chciał rozpocząć walkę, wykorzystując wybuch nadciągającej wielkiej wojny w Europie, w której po raz pierwszy od czasów napoleońskich zaborcy mieli zetrzeć się jako śmiertelni wrogowie. Zaczynem i kadrą dowódczą powstania mieli być ludzie wyszkoleni i przygotowani do tego zadania na terenie Galicji.

Moraczewski nie musiał szkolić się militarnie, gdyż stosowne umiejętności zdobył służąc w armii austriackiej. Ważna dla przygotowań wojskowych była stworzona przez niego wcześniej infrastruktura w postaci licznych stowarzyszeń i organizacji. Zaś on sam, jako ceniony w Galicji działacz i społecznik oraz wpływowy w Wiedniu parlamentarzysta, był dla Piłsudskiego sojusznikiem wprost bezcennym i często wykorzystywanym do przezwyciężania trudności piętrzących się przed komendantem polskiego czynu zbrojnego.

W popieranie strzeleckich przygotowań powstańczych Moraczewski zaangażował się najbardziej ze wszystkich posłów PPSD. Zdobył też największe zaufanie Piłsudskiego, który nie we wszystkich swoich posunięciach mógł zawsze liczyć na pozostałych liderów PPSD. Zdążyli oni już nawyknąć do legalnej działalności w praworządnej Austrii i autonomicznej Galicji i z ostrożnością podchodzili do planów Piłsudskiego wyrastających z rewolucyjnej tradycji funkcjonującej w zaborze rosyjskim Polskiej Partii Socjalistycznej.

Moraczewski, w kulcie powstań wychowywany od dziecka, podzielał argumentację Piłsudskiego i wspierał jego „insurekcyjny

hazard". Jak wspominał Daszyński, to on tłumił „głosy krytyki pacyfistycznej w naszych szeregach"[2]. Wiele czasu poświęcał propagowaniu i organizowaniu ruchu strzeleckiego na Podkarpaciu. W 1912 roku zaangażował się w formowanie kół robotniczych Związku Strzeleckiego, do których po kilku tygodniach należało już ponad 1500 osób.

Ta wspólnota poglądów i działań uległa jeszcze większemu zacieśnieniu po wybuchu wojny. Moraczewski ze wszystkich sił wsparł powstańcze działania komendanta strzelców, zainicjowane wymarszem Pierwszej Kompanii Kadrowej do Królestwa 6 sierpnia 1914 roku. Piłsudskiemu też bardzo na nim zależało. Najlepiej świadczył o tym fakt, że wykorzystał swe kontakty z dowództwem austriackim, aby już 1 sierpnia 1914 roku uchronić przed zmobilizowaniem do c.k. armii zaledwie kilka osób, w tym właśnie Moraczewskiego, Edwarda Rydza i Tadeusza Żulińskiego. Znamiennie brzmiał zapis w protokole posiedzenia koordynującej akcję niepodległościową w Krakowie Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych z 6 sierpnia 1914 roku: „Zastępcą ob. Mieczysława [tj. Piłsudskiego – dopisek T.N.] podczas jego nieobecności [wyruszył na front – dopisek T.N.] będzie ob. Moraczewski"[3].

Po załamaniu się strzeleckiej akcji powstańczej Moraczewski służył w Legionach Polskich, w których Piłsudski i jego podkomendni znaleźli nowe oparcie dla budowania polskich kadr wojskowych. Był niezmiennie wierny Piłsudskiemu i jak mógł neutralizował w Naczelnym Komitecie Narodowym i c.k. Komendzie Legionów Polskich wpływy zwolenników koncepcji trialistycznej, dla których czyn legionowy był tylko zapłatą za związanie sprawy polskiej z Habsburgami i za przekształcenie dualistycznej monarchii w trialistyczną, w Austro-Węgro-Polskę. Dla Moraczewskiego,

2 I. Daszyński, *Pamiętniki*, Warszawa 1957, t. I, s. 189.
3 AAN, Akta KTSSN, t. 9, k. 89.

podobnie jak i dla Piłsudskiego, sens walk legionowych był zupełnie inny. Miał znaczenie tylko wówczas, jeśli Legiony, niezależnie od formalnej podległości Austriakom, zachowają czysto polski charakter i będą mogły być użyte w przyszłości jako wojskowe kadry odradzającej się, suwerennej Polski.

Miarą zaufania komendanta I Brygady do Moraczewskiego był szybki oficerski awans i kierowanie go na placówki wymagające bezwzględnej lojalności i wielkiego doświadczenia politycznego. Był więc okiem i uchem Piłsudskiego w Naczelnym Komitecie Narodowym i w c.k. Komendzie Legionów Polskich. Jego zadaniem było między innymi neutralizowanie austrofilskich członków NKN, i jak ujmował to Komendant, „utwardzanie" postawy ludzi i środowisk lewicowo-niepodległościowych, w tym Ignacego Daszyńskiego.

Od stycznia 1915 roku, formalnie z mandatu Departamentu Wojskowego NKN, a faktycznie na polecenie Piłsudskiego, Moraczewski prowadził prace niepodległościowe na terenie okupowanego przez Austriaków i Niemców zaboru rosyjskiego, początkowo w Zagłębiu Dąbrowskim, a następnie w Łodzi.

W końcu 1915 roku, wraz z grupą oficerów lojalnych wobec Piłsudskiego, został karnie usunięty z Departamentu Wojskowego NKN i z początkiem stycznia 1916 roku na powrót znalazł się w I Brygadzie, wówczas walczącej na Wołyniu. Został oficerem sztabowym do spraw technicznych, ale tak naprawdę funkcjonował w najbliższym otoczeniu Komendanta i koordynował prace polityczne prowadzone w Warszawie, Lublinie, Krakowie i Wiedniu.

Kiedy w lipcu 1916 roku Piłsudski podał się do dymisji z funkcji dowódcy I Brygady Legionów Polskich, Moraczewski został przeniesiony do kompanii saperów stacjonującej w podwarszawskim Modlinie. Rzeczywistym celem jego misji stało się prowadzenie pracy politycznej wśród legionowych oficerów i żołnierzy,

stacjonujących w Królestwie, z którymi Piłsudski chwilowo stracił bezpośredni kontakt. O jego znaczącej, choć nieformalnej pozycji, świadczył drobny z pozoru fakt, że to właśnie on 13 grudnia 1916 roku przemawiał w imieniu oficerów I Brygady, zgromadzonych na przyjęciu wydanym na cześć swojego wodza w Hotelu Europejskim z okazji przybycia Piłsudskiego do Warszawy.

Na razie w swej nowej roli nie rozwinął zanadto skrzydeł, gdyż manifest dwu cesarzy, Wilhelma II i Franciszka Józefa I, z 5 listopada 1916 roku, zapowiadający utworzenie Królestwa Polskiego, przywrócił Piłsudskiego do gry i na nowo postawił w centrum wydarzeń. W styczniu 1917 roku Komendant został kierownikiem prac wojskowych i członkiem Tymczasowej Rady Stanu Królestwa Polskiego i w tej sytuacji posługiwanie się Moraczewskim, jako jego mężem zaufania, nie było już potrzebne.

Związków z Piłsudskim jednak nie rozluźnił i funkcjonował w wąskim kręgu jego najbliższych współpracowników. Dbał tylko, by się tym zbytnio nie afiszować, gdyż jawne zaangażowanie w politykę na terenie zaboru rosyjskiego groziło mu, jako austriackiemu poddanemu, karnym usunięciem z szeregów i odesłaniem do Austrii.

Powrócił jednak do przewidzianej dla niego przywódczej roli późną wiosną 1917 roku, kiedy Piłsudski w związku z zasadniczo zmieniającą się sytuacją międzynarodową zaczął planować zerwanie sojuszu z państwami centralnymi. „Z Komendantem jestem w stałym kontakcie – pisał w liście do żony z 12 maja 1917 roku – Jego kombinacja jest Ci znana. Da się streścić w takim postawieniu sprawy. Przez wybuch rewolucji w Rosji, która obezwładniła siły przeciwstawne, a więc i wojenne Rosji, wojna między Polską a Rosją została skończona. Ten wróg spadł z naszego organizmu [...]. Trzeba Niemcom koniecznie teraz przedstawić wolę narodu”[4].

4 Biblioteka Narodowa, rkps 7628/1, k. 137–138.

Nowe plany Komendanta zmierzały do zerwania z Niemcami i Austrią oraz do związania sprawy polskiej z ententą. To odwrócenie sojuszy i radykalne podwyższenie stawki w grze toczonej z zaborcami pomnożyło ryzyko narażenia się na represje ze strony porzuconych sprzymierzeńców. Piłsudski i jego współpracownicy łatwo mogli znaleźć się w więzieniu, a nawet stanąć przed sądem wojennym ze wszystkimi konsekwencjami, jakie niósł surowy czas wojny.

W tej sytuacji posłużenie się Moraczewskim jako ewentualnym zastępcą na czas nieuchronnie nadciągającego kryzysu w relacjach z Niemcami i Austriakami było rozwiązaniem dość naturalnym. Chronił go status posła do parlamentu wiedeńskiego i najgorsze, co mogło go spotkać w razie konfrontacji z władzami okupacyjnymi, to było chwilowe tylko pozbawienie wolności. Z mocy prawa musiały się za nim ująć władze austriackiego parlamentu i wymusić na własnych wojskowych poszanowanie dla poselskiego immunitetu.

Na próbę sił nie trzeba było długo czekać. W maju 1917 roku Moraczewski zorganizował tajny zjazd oficerów legionowych w Ostrołęce, poświęcony wypracowaniu wspólnej linii politycznej i ściślejszej więzi organizacyjnej tego środowiska. Debatowano nad stworzeniem konspiracyjnej struktury, która kontrolowałaby sytuację na wypadek przesilenia, do jakiego musiało dojść w chwili przygotowywanego przez Piłsudskiego zerwania z państwami centralnymi. Wskazano nawet liderów sprzysiężenia w osobach Moraczewskiego, Edwarda Rydza-Śmigłego i Przemysława Barthela de Weydenthala.

Wiadomości o spotkaniu dotarły do Niemców i Moraczewski został aresztowany i osadzony w warszawskim więzieniu. Wkrótce go jednak zwolniono, właśnie dzięki immunitetowi parlamentarnemu. Reakcja była wręcz gwałtowna, gdyż parlament zbierał się w końcu maja 1917 roku na kolejną sesję i władze wojskowe nie

chciały awantury, od jakiej to posiedzenie na pewno by się rozpoczęło, gdyby Moraczewski nie odzyskał wolności.

Kapitan-poseł wyszedł na wolność, ale pod warunkiem, że natychmiast uda się do Wiednia. Nie było go więc w Królestwie Polskim, kiedy represje, podjęte zwłaszcza przez Niemców, zdziesiątkowały obóz niepodległościowy. Bronił represjonowanych kolegów wszelkimi sposobami z trybuny parlamentarnej, ale poza nagłośnieniem sprawy niewiele zyskał. W końcu sierpnia i jemu wręczono pismo zawiadamiające o wydaleniu z Legionów Polskich, reorganizowanych w Polski Korpus Posiłkowy.

W wyniku lipcowych represji za kratami więzień i drutami obozów znalazła się znaczna część kadry kierowniczej obozu niepodległościowego. Najboleśniejszą stratą było uwięzienie wodza, skupiającego w swoim ręku wszystkie polityczne nici, oraz jego nieformalnego zastępcy płka Kazimierza Sosnkowskiego.

Zadaniem najpilniejszym stało się powołanie nowego kierownictwa, którego brak groził paraliżem całego obozu, znacznie uszczuplonego przez masowe represje okupantów. Sytuację komplikował fakt, że Piłsudski nie pozostawił wyraźnej dyrektywy, kto ma go zastąpić w razie uwięzienia. Najbliżsi współpracownicy wiedzieli, że od kilku tygodni planował powołanie kolegialnego kierownictwa, nazywanego przez niego Konwentem. Chciał, żeby Konwent Organizacji A skupił liderów partii lewicowych i POW, zaś Konwent Organizacji B był forum współpracy wybitnych osobowości, najlepiej o poglądach prawicowych, pracujących nad polskimi propozycjami na zbliżającą się konferencję pokojową. Jednak aż do aresztowania wodza Konwent nie powstał.

Po jego uwięzieniu w szeregach zapanował chaos, który trwał od lipca aż do przełomu września i października 1917 roku. Mało na ten temat wiadomo, gdyż odpowiedzialni za stan obozu działacze, kiedy już otrząsnęli się z szoku, uczynili wiele, aby ukryć własną dezorientację i zaniechania. Są jednak przesłanki

pozwalające przypuszczać, że to właśnie Moraczewski stał za posunięciami, przywracającymi piłsudczykom sprawność i nową dynamikę działania.

Po pierwsze, powstanie nowego kierownictwa, zwanego Konwentem Organizacji A, zbiegło się w czasie z jego powrotem do aktywności politycznej na terenie kraju. Po drugie, to jego przymierzał wcześniej do tej roli Piłsudski. A po trzecie, to właśnie on stanął na czele Konwentu jako jego polityczny lider.

Znamienna jest wstrzemięźliwość, z jaką Moraczewski relacjonuje te wydarzenia w swojej publikacji. Poświęca im zaledwie dwa zdania: „Na czele POW stanął pułkownik Edward Rydz-Śmigły, niezmordowany bojownik o niepodległość. On wraz z Jędrzejem Moraczewskim, politycznym reprezentantem organizacji, wytężyli wszystkie siły dla zorganizowania walki zbrojnej z najazdem".

Jak widać, autor starannie ukrył istnienie konspiracyjnej struktury kierowniczej oraz swoją w niej rolę. Uczynił tak najpewniej dlatego, że Konwent funkcjonował także po listopadzie 1918 roku. Była to jedna z najgłębszych tajemnic obozu piłsudczykowskiego i jej zachowanie warte było tego przekłamania.

Dodatkowo miało je uwiarygodnić przesadne wyeksponowanie roli płka Rydza-Śmigłego. To jemu cytowany fragment przyznał pierwszeństwo zainicjowania nowych działań obozu. Tymczasem wiele wskazuje na to, że było odwrotnie i to Konwent postawił pułkownika na czele POW. Powstał bowiem najpóźniej w październiku 1917 roku, a Komenda Główna POW zaczęła funkcjonować dopiero w grudniu 1917 roku. Ale o Rydzu-Śmigłym, jako architekcie nowej struktury obozu, można było pisać bez ryzyka dekonspiracji, gdyż generał od listopada 1918 roku poświęcił się wyłącznie służbie wojskowej i z polityką nie miał już żadnych związków.

Informację o nowym, hierachicznym zorganizowaniu lewicy niepodległościowej, sprawnie zarządzanej przez Konwent, trzeba

też było ukryć dlatego, że kłóciłaby się z obowiązującym w publikacji schematem propagandowym. Przedstawiał on procesy rozgrywające się w ostatnim okresie wojny i w pierwszych miesiącach odbudowy suwerennej Polski jako efekt rewolucyjnych nastrojów i działań mas ludowych, w pierwszej kolejności robotników. Nie było w tym schemacie miejsca na tajne kierownictwa i zakulisowe porozumienia międzypartyjne.

Potrzeby propagandowe przesądziły też o zdeformowaniu relacji o nowej strategii i najważniejszych działaniach obozu niepodległościowego. Stosownie do dokonanego jeszcze przez Piłsudskiego odwrócenia sojuszy, priorytem kierowanego przez Moraczewskiego Konwentu stało się nawiązanie kontaktów z ententą. Najprościej można to było osiągnąć zawiązując porozumienie z kierowanym przez Dmowskiego obozem narodowym, od początku wiążącym sprawę polską z ententą.

Takie też działania podjęte zostały przez Konwent już w listopadzie 1917 roku. Z udziałem Moraczewskiego, w Krakowie, odbyły się pertraktacje z przedstawicielami kierującego obozem narodowym Międzypartyjnego Koła Politycznego. Piłsudczycy zaoferowali bardzo przez ententę pożądaną akcję dywersyjną, podjętą na niemieckich i austriackich tyłach frontu wschodniego. Zasłaniając się tajemnicą wojskową, o konkretach chcieli rozmawiać bezpośrednio z przedstawicielami sprzymierzonych armii Zachodu.

Endecy trafnie rozszyfrowali to posuniecie jako próbę pozbawienia ich monopolu w relacjach z ententą i przerwali rozmowy. Niemniej, pierwsze lody w fatalnych do tej pory relacjach endecko-piłsudczykowskich zostały przełamane. Kolejne inicjatywy, już z 1918 roku, były bardziej udane.

Pod sam koniec wojny doszło nawet do zawarcia porozumienia piłsudczykowsko-endeckiego na terenach rosyjskich, kontrolowanych przez białych, ale w niewielkim stopniu przyczyniło

się to do osłabienia wzajemnej rywalizacji w kraju, dodatkowo podsycanej zbliżającym się końcem wojny i perspektywą przejmowania władzy z rąk zaborców.

O tym wszystkim publikacja Moraczewskiego milczała jak zaklęta, kwitując ten priorytetowy kierunek działania mało czytelną, skąpą informacją o „zetknięciu się delegatów POW z ambasadorami państw koalicyjnych na Wschodzie" i o „bojowej akcji peowiaków na Ukrainie".

Był tu Moraczewski zakładnikiem realizowanego konsekwentnie schematu propagandowego, w myśl którego monopol na patriotyzm i dążenie do niepodległości miała lewica, zaś „obóz prawicowy, oszczędzany przez okupantów, przypatrywał się biernie wszystkiemu, co się wokoło niego działo, nie bez ukrytej radości z powodu rozbijania lewicy przez Niemców i Austriaków".

O endecji Moraczewski potrafił pisać tylko krytycznie. Nawet najłagodniejsza jej charakterystyka brzmiała jak akt oskarżenia. Endecy to: „nieposzlakowani reakcjoniści społeczni, przewyższający pod tym względem niejednokrotnie konserwatystów, ale zbuntowani przeciw państwom centralnym; wprawdzie szukający pierwotnie ratunku dla Polski w serwilizmie wobec carskiej Rosji, ale opierający obecnie swoje kombinacje polityczne na uzyskaniu poparcia przez konserwatywne elementy Francji".

Teza o spontanicznym narastaniu nastrojów rewolucyjnych w okupowanym kraju sprawiła też, że nie ma w tekście Moraczewskiego informacji o podejmowanych przez Konwent przygotowaniach do wywołania powstania w chwili spodziewanej klęski wojennej Niemiec i Austro-Węgier.

Scenariusz takiego powstania opracowano na naradzie zorganizowanej przez Konwent w Krakowie, w lutym 1918 roku[5]. Nawiązano do dawnych planów Piłsudskiego, jeszcze z czasów

5 Zapis narady: *Narada krakowska z lutego 1918 r.*, oprac. Jerzy Holzer, „Przegląd Historyczny" 1958, nr 3.

rewolucji 1905 roku. Działania powstańcze miały mieć charakter wojny ludowej, wznieconej przez dawnych legionistów i kadry POW, przygotowane w konspiracji. Do walki miały motywować: idea suwerenności oraz radykalne reformy społeczne, jakie zamierzano przeprowadzić w odbudowanym własnym państwie.

Kierowani przez Moraczewskiego i Rydza-Śmigłego piłsudczycy nie byli w swoich działaniach odosobnieni. Jednocześnie do przejęcia władzy z rąk okupantów i pokierowania odbudową państwa szykowali się endecy. Atutami lewicy były: dobrze zorganizowane kierownictwo, liczące się i ideowe kadry wojskowe oraz szerokie wpływy w warstwach ludowych, zwłaszcza wśród robotników. Za to obóz narodowy dysponował poparciem ententy, bezcennym na arenie międzynarodowej, ale mniej liczącym się w rozgrywkach wewnętrznych w kraju. Nie miał też takiego oparcia w sile zbrojnej. Mógł wprawdzie liczyć na oficerów służących w armiach zaborców, ale byli oni zdemoralizowani przez przegrywaną przez ich armie wojnę i nie dorównywali ideowością podkomendnym Piłsudskiego i Rydza-Śmigłego.

Rozgrywka wkroczyła w decydującą fazę w końcu października 1918 roku. Moraczewski dosyć szczegółowo to relacjonuje, niezmiennie w myśl propagandowego schematu, w którym patriotyzm i zdecydowanie lewicy przeciwstawiane jest kunktatorstwu i wyrachowaniu endeckiej prawicy.

Ciekawe, że jednocześnie autor, jak tylko może, dezawuuje dawnych legionowych antagonistów Piłsudskiego, w tym Władysława Sikorskiego. Najwyraźniej nie rozumie, że w nowej sytuacji te spory nie miały już sensu i winny zostać zastąpione współdziałaniem, zwiększającym szansę w politycznej rywalizacji z obozem narodowym. Najlepiej widać to w narracji przedstawiającej listopadowe walki z Ukraińcami o Lwów i Galicję Wschodnią.

Omawiając usunięcie zaborców i tworzenie pierwszych polskich ośrodków władzy, najdokładniej Moraczewski relacjonuje przebieg wypadków w Galicji. Te wydarzenia nie tylko obserwował, ale i współtworzył jako członek prezydium pierwszego polskiego rządu dzielnicowego, jakim była utworzona 28 października 1918 roku Polska Komisja Likwidacyjna.

Widać, że dysponuje też solidną wiedzą na temat powołania przez Konwent Organizacji A lewicowego Tymczasowego Rządu Republiki Polskiej, utworzonego w Lublinie w nocy z 6 na 7 listopada 1918 roku. Wprawdzie sam przebywał w tym czasie w Krakowie, ale jako lider Konwentu najwyraźniej czuwał nad biegiem wydarzeń również w zaborze rosyjskim. Najlepiej świadczył o tym odnotowany przez niego fakt, że najważniejsi liderzy obozu narodowego, zaniepokojeni przygotowaniami do powołania rządu lubelskiego, przybyli do Krakowa i u niego szukali pomocy, proponując utworzenie rządu zgody narodowej, z jego właśnie udziałem. Propozycji nie przyjął, gdyż marginalizowała ona lewicę, a z niego samego czyniła zaledwie kwiatek przy rządowym, endeckim kożuchu.

Publikacja nie daje bezpośredniej odpowiedzi na pytanie, dlaczego na czele rządu powołanego przez Konwent nie stanął jego lider, lecz Ignacy Daszyński. Ale można to wyczytać między wierszami. Spod propagandowego makijażu wyziera bowiem wyraźny dystans Moraczewskiego do tej inicjatywy. Widać, jak nie przywiązywał on żadnego znaczenia do swojej funkcji ministra komunikacji w tym gabinecie. Znamienne, że w ogóle nie pojawia się w Lublinie. Owszem, choruje w tym czasie, ale w Krakowie jest bardzo aktywny, mimo kłopotów ze zdrowiem.

Zawoalowaną krytyką partyjnych towarzyszy jest wprost wyrażane ubolewanie z powodu jednoznacznie lewicowego charakteru rządu. Stara się być lojalny wobec kolegów i całą winą za to ograniczenie obarcza Wincentego Witosa, kreśląc

jego zachowanie zdecydowanie czarną barwą. W głębi duszy pewnie go rozumie, bo przecież Witosowi przeznaczono w Lublinie rolę podobną do tej, którą jemu w swoim rządzie wyznaczali endecy.

Jako jeden z nielicznych, Moraczewski pozostał wierny poglądom Piłsudskiego sprzed aresztowania, zakładającym, że odbudowaniem suwerennej Polski skutecznie pokieruje tylko rząd zgody narodowej. To wielkie zadanie musi połączyć Polaków, bowiem jeśli pogrążą się we wzajemnej rywalizacji, zabraknie im siły niezbędnej do pokonania wrogów zewnętrznych.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Moraczewski, zastąpiwszy jesienią 1917 roku Piłsudskiego, szukał takiego porozumienia. Prowadził wiele rozmów, także tych najtrudniejszych, z narodowymi demokratami. Ostatecznie rozbiły się one o zbyt wielkie ambicje rywali, ale przeszkodą był też radykalizm innych polityków Konwentu.

Najpewniej więc skrzętnie w tej publikacji skrywany dystans do rządu lubelskiego spowodowany był przekonaniem o potrzebie dalszego poszukiwania politycznego kompromisu, niezbędnego dla skoncentrowania wysiłków państwotwórczych. Za taką hipotezą przemawiałoby pozostanie poza gabinetem Daszyńskiego najbliższego współpracownika Moraczewskiego, sekretarza Konwentu Leona Wasilewskiego, też zdeklarowanego zwolennika szerszych rządowych sojuszy.

W tej sytuacji Moraczewski wolał zająć się reprezentowaniem rządu ludowego na terenie Galicji. Tu działał znacznie bardziej zdecydowanie, niż to opisał. Chcąc podporządkować rządowi Galicję, gotów był nawet na przeprowadzenie swoistego zamachu stanu. Usiłował przeciągnąć na swoją stronę dowodzącego w Krakowie Bolesława Roję, by przy pomocy wojska zmusić do uległości niechętną rządowi lubelskiemu Polską Komisję Likwidacyjną. Roja jednak odmówił i Mora-

czewski nie miał innego wyjścia, jak łączyć lojalność wobec PKL i rządu w Lublinie.

Radykalnie zmienił sytuację powrót Piłsudskiego do Warszawy 10 listopada 1918 roku. Dowiedziawszy się o tym, Moraczewski, choć osłabiony chorobą, natychmiast opuścił Kraków i zjawił się w stolicy. Komendant powitał go bardzo serdecznie i natychmiast włączył do grona najbliższych i najbardziej zaufanych współpracowników. Potwierdza to informacja ujawniona w *Przewrocie w Polsce*, że obok Daszyńskiego tylko on brał udział w poufnych rozmowach Piłsudskiego z prawicą i centrum, mających doprowadzić do utworzenia rządu zgody narodowej.

Jak mówi przypisywany Piłsudskiemu aforyzm, właśnie w tym czasie twórca Legionów wysiadł z czerwonego tramwaju na przystanku niepodległość, czyli przeistoczył się z polityka lewicy w męża stanu, świadomego odpowiedzialności za całe odradzające się państwo.

Piłsudski był przekonany, że tylko rząd zgody narodowej zapewni siłę odradzającej się Polsce. Dlatego przed najbliższymi współpracownikami nie ukrywał niezadowolenia z powstania rządu ludowego w Lublinie. Leon Wasilewski wspominał, że wkrótce po powrocie z Magdeburga komendant wezwał do siebie Konwent Organizacji A. Kurtuazyjnie podziękował „za pracę niepodległościową podczas jego nieobecności w kraju, podnosząc ogólnikowo jej doniosłość [...], ganiąc utworzenie rządu lubelskiego”[6]. Tę ostatnią uwagę uczynił w bardzo ostrej formie, tak że nawet Moraczewski, przecież nie entuzjasta rządu lubelskiego, pozwolił sobie potem w rozmowie z kolegami na cierpką uwagę: „Komendant zupełnie niepotrzebnie to wszystko mówił”[7].

Piłsudski był zirytowany, gdyż świetnie rozumiał, że sięgnięcie po władzę przez lewicę bardzo utrudniło doprowadzenie

6 L. Wasilewski, *Piłsudski jakim go znałem*, Warszawa 2013, s. 205.
7 Ibidem.

do ogólnonarodowego kompromisu. Urósł teraz jeszcze bardziej mur wzajemnej nieufności i spotęgowało się partyjne zacietrzewienie. Po kilku dniach rozmów z prawicą i centrum, prowadzonych z udziałem Daszyńskiego i Moraczewskiego, stało się jasne, że życie skazywało Komendanta na ponowne mianowanie rządu lewicowego. Prawica nie chciała słyszeć o ustępstwach, a współpracownicy i zwolennicy z lewicy domagali się kontynuowania działań rozpoczętych w Lublinie.

Piłsudski nie miał innego wyjścia, niż utrzymać, przynajmniej tymczasowo, lewicę przy władzy. Miało to tę zaletę, że impregnowało Polskę na radykalne podmuchy docierające ze wschodu. Komendant od dawna wrogo traktował bolszewików, ale wystarczająco długo działał wśród robotników, żeby wiedzieć, że w momentach rozchwiania starego porządku najłatwiej przebija się najskrajniejsza demagogia. Postrzegał bolszewików i komunizm jako groźną zarazę, mogącą zainfekować słabą i bezbronną Polskę. W rządach socjalistów widział szczepionkę, której na razie nie mógł zastąpić najskuteczniejszym lekarstwem, jakim byłaby silna armia.

Piłsudski nie zamierzał trzymać się tego rozwiązania dogmatycznie. Już 10 listopada 1918 roku mówił swoim przyjaciołom z PPS, że da im władzę „bo was niesie w tej chwili na skrzydłach ten wiatr, który polatuje nad całą Europą". „Ale rozważcie i wykorzystajcie to dobrze" – radził. „Nie przeceniajcie swoich sił [...]. Jeżeli wy tego okresu, gdy będziecie mieć władzę w ręku, nie wykorzystacie na to, by stać się realną, zorganizowaną siłą, to ja panów ostrzegam, ja was z błota za uszy wyciągać nie będę"[8].

Piłsudski utrzymał u władzy rząd lewicowy, ale zmienił premiera. Spowodował, że do dymisji podał się desygnowany 14 listopada 1918 roku na to stanowisko Daszyński, a jego miejsce

8 Cyt. za: W. Jędrzejewicz, J. Cisek, *Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego 1867–1935*, t. II, Kraków–Łomianki 2006, s. 106.

18 listopada zajął Moraczewski. Nie bez znaczenia była tu sugestia polityków endecji, którzy odmawiając udziału w gabinecie, zapowiedzieli, że z Daszyńskim toczyć będą wojnę na noże, zaś znacznie łagodniej potraktują właśnie Moraczewskiego. Najwyraźniej procentowały wcześniejsze dobre kontakty lidera Konwentu z endecją i pewien dystans wobec rządu lubelskiego, raz jeszcze podkreślmy, skrzętnie w publikacji maskowany ze względu na propagandowe potrzeby PPS. One to bowiem sprawiały, że tekst jest jednym wielkim peanem na cześć polityki i wyraźnie wyolbrzymionych dokonań rządu Daszyńskiego.

Piłsudski uległ sugestii endeków, bo sam zdecydowanie wolał mieć jako premiera Moraczewskiego, a nie Daszyńskiego. Nie dowierzał „czerwonemu trybunowi" z Krakowa, obawiał się jego radykalizmu i samodzielności. „Z Ignacem do ładu dojść nie mogę – przywołuje słowa zirytowanego Komendanta Bogusław Miedziński. – Rozmawia ze mną, jak gdyby był na wiecu w Ujeżdżalni. Gniewem ludu mi grozi i barykadami"[9].

Tymczasem na Moraczewskim mógł polegać jak na Zawiszy. Wiedział, że lider Konwentu nie zawaha się, kiedy przyjdzie mu wybierać miedzy lojalnością wobec partyjnych kolegów a poleceniami wodza. Aby mieć gwarancję pełnej dyspozycyjności, misję powierzenia premierostwa przeprowadził na modłę wojskową. „Na wszelki wypadek – wspominał w 1921 roku – kazałem mu stanąć na baczność (w owych czasach ostrożność ta, moi panowie, nie była zbyteczną), a potem powiedziałem mu: Panie kapitanie, ma pan zostać prezesem rady ministrów..."[10].

Nie ma tej sceny w *Przewrocie w Polsce* i trudno się temu dziwić. Podważała ona cały wywód, przedstawiający rządy ludowe jako emanację rewolucyjnej energii mas robotniczych i chłopskich.

9 B. Miedziński, *Wspomnienia (dokończenie)*, „Zeszyty Historyczne" 1976, z. 37, s. 149.

10 J. Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, t. v, Warszawa 1937, s. 205.

Swą wypowiedzią Piłsudski ugodził boleśnie w najczulsze miejsce założycielskiego, niepodległościowego mitu PPS i naraził na ostrą krytykę dawnych towarzyszy partyjnych. Sam Moraczewski konsekwentnie milczał, ani nie potwierdzając, ani nie dezawuując swego patrona.

Był bowiem w dużym kłopocie, gdyż świetnie wiedział, że zadania, jakie przed jego rządem postawił Piłsudski, zasadniczo różniły się od strategii PPS. Socjaliści i ich sojusznicy z PSL „Wyzwolenie" chcieli wykorzystać władzę dla gruntownego przebudowania Polski w duchu własnej, radykalnej społecznie wizji państwa.

Taki też, w znacznej mierze wyidealizowany, obraz działań rządowych, zawarł Moraczewski w *Przewrocie w Polsce*. Lojalnie, jak tego wymagała partyjna propaganda, upiększył historię pierwszych miesięcy niepodległości, czyniąc z PPS główną siłę państwotwórczą, zaś jej rywali przedstawiając w roli szkodników za nic mających własne, demokratyczne państwo.

Uczynił to tak gorliwie i sugestywnie, że nawet najbardziej dociekliwy czytelnik w oparciu o tę narrację nie zorientuje się, jaki był rzeczywisty sens misji zleconej jego gabinetowi przez Piłsudskiego. Najlepiej widać to w świetle relacji Leona Wasilewskiego, najbliższego w tamtym czasie współpracownika Komendanta i Moraczewskiego, ministra spraw zagranicznych w jego rządzie.

W latach trzydziestych, już mniej dbając o partyjną mitologię, a bardziej o rzeczywisty przebieg wydarzeń, napisał on:

> Gabinet ten miał być w gruncie rzeczy niejako prowizoryczny. Miał on opracować ordynację wyborczą na podstawie pięcioprzymiotnikowego głosowania i podać się potem do dymisji, przy czem jego członkowie mieli się rzucić z całą energią w wir walki wyborczej, aby ewentualnie powrócić już do rządu w charakterze przedstawicieli społeczeństwa, obdarzonych jego zaufaniem. Tymczasem, aż do zebrania się

sejmu, rządziłby gabinet przejściowy, bezbarwny politycznie, złożony z fachowców urzędników, który by później ustąpił normalnemu gabinetowi parlamentarnemu, przypuszczalnie koalicyjnemu[11].

Tekst Moraczewskiego milczy o tym jak zaklęty. Także o tym, że Piłsudski intensywnie szukał kandydata na premiera takiego przejściowego gabinetu. Myślał o zbliżonym do endecji wybitnym historyku, profesorze Władysławie Smoleńskim. Także o biskupie Władysławie Bandurskim, jedynym dostojniku Kościoła popierającym Legiony Polskie. Niełatwo było jednak znaleźć osobę odpowiadającą jednocześnie i socjalistom, i endekom.

Po obydwu stronach barykady dominował duch konfrontacji, w publikacji Moraczewskiego, z propagandowych względów, przypisywany wyłącznie adwersarzom. Kryzys zaostrzały ciężkie warunki bytowania Polaków, którym autor publikacji poświęca wiele miejsca, wcale nie przesadzając w opisie wręcz rozpaczliwej sytuacji wyniszczonego wojną i okupacją kraju.

Z punktu widzenia odradzającej się Polski największą słabością rządu Moraczewskiego była jego izolacja na arenie międzynarodowej. Autor, jak tylko może, minimalizuje ten defekt. Wbrew faktom sugeruje, że ententa była bardzo blisko decyzji o uznaniu jego gabinetu. W rzeczywistości państwa ententy uznawały tylko paryski Komitet Narodowy Polski, funkcjonujący od 1917 roku pod prezesurą Romana Dmowskiego.

Trwająca od listopada 1918 roku dwuwładza musiała zostać zlikwidowana przed konferencją pokojową w Paryżu, rozpoczynającą obrady 18 stycznia 1919 roku. Alternatywę stanowiło narażenie na szwank najbardziej żywotnych interesów Rzeczypospolitej, o losach której konferencja miała zadecydować. Po obydwu stronach

11 L. Wasilewski, op. cit, s. 205–206.

politycznej barykady zdawano sobie sprawę, że brak zgody byłby największym prezentem, jaki mogliby otrzymać wrogowie, w pierwszej kolejności Niemcy i Rosjanie.

Piłsudski miał coraz mniej czasu na znalezienie kandydata na premiera stojącego ponad partyjnymi podziałami. Zdecydował się na ruch prawdziwie mistrzowski, jakim było pozyskanie dla tego rozwiązania Ignacego Paderewskiego.

Jak to relacjonuje dosyć dokładnie Moraczewski, Paderewski pojawił się w końcu grudnia 1918 roku w Polsce, przysłany tu przez Dmowskiego i Komitet Narodowy Polski z misją zmarginalizowania pozycji Piłsudskiego i pozbawienia władzy lewicy. Miał na to spore szanse, bo Polacy go uwielbiali.

Pamiętali, że w najczarniejszą noc niewoli wykorzystywał swój geniusz artysty, podziwianego na całym świecie, by przypominać o Polsce. Wierzyli, że to jego popularność w Stanach Zjednoczonych i osobista przyjaźń z prezydentem Wilsonem legły u genezy słynnego „13 punktu", w którym Wilson opowiadał się już w styczniu 1918 roku za niepodległą i zjednoczoną Polską. Jak wielkim cieszył się autorytetem, najlepiej świadczył fakt, że już samo jego pojawienie się w Poznaniu doprowadziło 27 grudnia 1918 roku do wybuchu powstania przeciwko Niemcom.

W nocy z 1 na 2 stycznia 1919 roku mistrz fortepianu i polityki przybył do Warszawy, owacyjnie witany przez nieprzebrane tłumy jej mieszkańców. Endecy chcieli go wykorzystać w roli tarana, torującego im drogę do władzy. Ale on się do tej roli nie palił, bo nie chciał być ich zakładnikiem, a ponadto szybko się zorientował, że więcej zyska współpracując z Piłsudskim, niż go bezwzględnie zwalczając. Był szczerym patriotą i, podobnie jak Komendant, dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że odradzająca się Polska potrzebuje rządu zgody narodowej, a nie gabinetu partyjnej konfrontacji, ani w lewicowym, ani w endeckim wydaniu. Z każdą rozmową coraz lepiej rozumiał się z Piłsudskim i coraz

przychylniej myślał o stworzeniu z nim politycznego tandemu, który skłoniłby zwaśnione partie do współpracy.

Rzecz jasna, nie podobało się to narodowym demokratom. Najbardziej radykalni działacze tego obozu zdecydowali wziąć sprawy w swoje ręce. Postanowili dokonać zbrojnego przewrotu i sami stworzyć rząd, który Paderewski miałby z czasem firmować jako głowa państwa, wyniesiona na to stanowisko w miejsce Piłsudskiego.

Nieudaną próbę zamachu stanu spiskowcy przeprowadzili w nocy z 4 na 5 stycznia 1919 roku. Zbuntowane oddziały i uzbrojone bojówki endeckich radykałów zajęły komendę garnizonu warszawskiego oraz aresztowały Moraczewskiego i niektórych ministrów. Nie powiodła się dopiero próba opanowania Belwederu i uwięzienia Piłsudskiego. On też szybko stał się panem sytuacji. Głównie dlatego, że to jemu pozostało wierne wojsko. Nawet żołnierze z oddziałów wyprowadzonych na ulicę przez oficerów-spiskowców szybko przeszli na jego stronę.

Pucz okazał się farsą i skompromitował zarówno prawicę, jak i lewicę, która bez pomocy Piłsudskiego zapewne przegrałaby nawet z tak nieudolnym wrogiem. Pierwszy zrozumiał to Paderewski, z zamachem nie mający nic wspólnego, choć w ostatniej chwili uprzedzony przez zamachowców o ich planach. Tym gorliwiej się teraz odżegnywał od ich awanturnictwa i skłaniał ku współpracy z Piłsudskim. Ten nie wykorzystał uzyskanej przewagi i podtrzymał propozycję działania w tandemie, z nim jako głową państwa i Paderewskim jako szefem ponadpartyjnego rządu.

Bardzo się to nie spodobało sprzymierzonej z Piłsudskim lewicy, zwłaszcza socjalistom, którzy zmianę rządu na dziesięć dni przed wyborami sejmowymi uznali za nóż wbity w plecy. Piłsudski pozostał jednak niewzruszony. Chcących go nakłonić do zmiany decyzji polityków lewicy potraktował jak sztubaków i niemalże wyrzucił za drzwi Belwederu. „Nic nie rozumiecie

mojej sytuacji i całej sytuacji w ogóle. Nie chodzi o lewicę, czy o prawicę, mam to w dupie. Jestem dla całości. Chodzi o wojsko, którego naprawdę jeszcze nie ma. Wszystkie moje wysiłki muszą iść w kierunku armii. O to się staram [...]. Gdy będę miał wojsko, będę miał wszystko w ręku"[12].

16 stycznia 1919 roku Naczelnik polecił podać się do dymisji posłusznemu mu Moraczewskiemu i mianował nowy gabinet, z Paderewskim jako premierem i ministrem spraw zagranicznych. Nieoczekiwanym ani przez przyjaciół, ani przez wrogów sojuszem z Paderewskim obezwładnił obydwie strony. Niezadowolonej z odsunięcia od władzy lewicy niewygodnie było występować przeciwko promotorowi tej zmiany, uważanemu za własnego patrona. Z kolei prawica nie mogła sobie pozwolić na zdezawuowanie Paderewskiego, wcześniej okrzykniętego bohaterem narodowym, chociaż ten, podejmując współpracę z Belwederem, zamknął endekom drogę do władzy.

Utworzenie gabinetu Paderewskiego stanowiło milowy krok na drodze stabilizowania państwa. W końcu, po dwóch miesiącach partyjnych zapasów, w tym po dwóch przewrotach – lewicowym z Lublina i prawicowym z Warszawy – Polska otrzymała rząd cieszący się powszechnym autorytetem. Także za granicą. Komitet Narodowy Polski w Paryżu został uzupełniony o przedstawicieli Naczelnika i upełnomocniony do reprezentowania Polski na paryskiej konferencji pokojowej. Przyznane przez ententę dwa mandaty otrzymali Paderewski i Dmowski.

Grożący paraliżem państwa konflikt pomiędzy prawicą i lewicą przygasł, choć Piłsudski nie łudził się, że na długo. Dlatego z taką konsekwencją dążył do zwołania Sejmu Ustawodawczego. Oczekiwał, że uporządkuje on życie polityczne i skieruje je na tory legalizmu. Tam, gdzie do tej pory rządziła uliczna de-

12 W. Baranowski, *Rozmowy z Piłsudskim 1916–1931*, Warszawa 1938, s. 105–106.

magogia, miała zapanować demokracja, a decyzje – zależeć od woli większości.

Sejm potrzebny był też Naczelnikowi do umocnienia międzynarodowej pozycji Polski. Miał zaświadczyć o definitywnym okrzepnięciu państwa i zyskać dlań oficjalne uznanie. Wizja Polski praworządnej i demokratycznej miała promieniować na narody Europy Wschodniej i przynosić korzyści w planowanej, acz na razie trzymanej w tajemnicy, decydującej rozgrywce z bolszewicką Rosją.

Sejm był też niezbędny dla kontynuowania prac rozpoczętych przez odsuniętą od władzy lewicę. Działaniami reformatorskimi miał dalej wyciszać napięcia społeczne tak, by nie utrudniały one realizowania innych, bardzo ważnych celów, w tym nieuchronnej wojny z Rosją.

Wraz ze spolegliwie zgłoszoną dymisją skończyła się najważniejsza z ról wyznaczonych Moraczewskiemu przez Piłsudskiego. Można powiedzieć, że dojrzewał do tej misji całymi latami, jeszcze w czasie przedwojennych przygotowań strzeleckich i wiernej służby w szeregach legionowych. Generalną próbą przed zasadniczą rozgrywką, także zaliczoną pomyślnie, okazało się polityczne przywództwo w Konwencie Organizacji A, trochę uzurpatorskie, ale jak zaświadcza rządowy awans, całkowicie rozgrzeszone i zaakceptowane przez Komendanta.

Dalsza kariera polityczna Moraczewskiego, która z punktu widzenia prezentowanego tekstu nie ma już większego znaczenia, też ściśle splatała się z działaniami Piłsudskiego. Jak długo mógł i potrafił, Moraczewski usiłował godzić lojalność wobec swego wodza i swojej partii. Kiedy w parę lat po zamachu majowym okazało się to już niemożliwe, stanął przy Marszałku, a z PPS został karnie usunięty. Lewicowych przekonań jednak nie porzucił i aż do śmierci Piłsudskiego lokował się na lewym skrzydle obozu sanacyjnego. Pozostał człowiekiem lewicy także po 1935 roku,

przez ostatnią dekadę swojego życia, choć z czynną polityką miał coraz mniej wspólnego.

Koncentrował się coraz bardziej na dokumentowaniu przeszłości, broniąc dorobku życia nie tylko swojego, ale i ukochanego Komendanta.

Niniejsza publikacja jest bardzo bezpośrednim, wręcz spisywanym na gorąco świadectwem dokonań z przełomowych miesięcy budowania suwerennej Polski. Raz jeszcze warto podkreślić, że mamy do czynienia z przekazem mocno zabarwionym ówczesnymi schematami propagandowymi PPS. Miejsca i sformułowania najbardziej zdeformowane wskażą Czytelnikowi przypisy.

Ich celem nie jest wytykanie Moraczewskiemu błędów i przeinaczeń, a przybliżenie klimatu epoki, który tak naprawdę poczuć i zrozumieć można właśnie dzięki takim pełnym emocji lekturom, a nie stonowanym i wyważonym naukowym monografiom i podręcznikom.